# Wołowina, algorytmy i Chiny: wielki test dla polskiej wsi


**AUTOR**

Fundacja Dobre Państwo



## STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje wielowymiarowe skutki umowy UE-MERCOSUR, która staje się kluczowym wyzwaniem dla polskiej wsi i europejskiej suwerenności żywnościowej. Autor bada zderzenie interesów niemieckiego przemysłu z tradycyjnym rolnictwem, osadzając spór w kontekście czwartej rewolucji przemysłowej i algorytmizacji. Tekst demaskuje asymetrię handlową, w której Europa otwiera rynki na tańszą żywność o niższych standardach w zamian za eksport technologii. To głęboka refleksja nad przyszłością lokalnej produkcji w dobie globalizacji i zielonej transformacji.

This article analyzes the multifaceted implications of the EU-MERCOSUR agreement, which is becoming a key challenge for the Polish countryside and European food sovereignty. The author examines the clash of interests between German industry and traditional agriculture, placing the dispute in the context of the Fourth Industrial Revolution and algorithmization. The text exposes the trade asymmetry in which Europe opens markets to cheaper, lower-quality food in exchange for technological exports. This is a profound reflection on the future of local production in the era of globalization and the green transition.


Umowa handlowa między Unią Europejską a blokiem MERCOSUR stanowi znacznie więcej niż technokratyczne porozumienie o kontyngentach taryfowych; to fundamentalny test europejskiej suwerenności w obliczu globalnych przetasowań. Artykuł analizuje konflikt między dwiema wizjami przyszłości: dążeniem Brukseli do geopolitycznego umocnienia poprzez dywersyfikację surowcową a obawami państw takich jak Polska i Francja o przetrwanie rodzinnych gospodarstw. Autor stawia tezę, że obecny spór nie jest jedynie wynikiem protekcjonizmu, lecz głęboką kolizją

racjonalności – przemysłowej, nastawionej na eksport technologii, oraz rolniczej, opartej na bezpieczeństwie żywnościowym i lokalnej tożsamości. W tekście wykazano, że asymetria standardów produkcyjnych oraz brak realnych mechanizmów ochronnych czynią z rolników ofiary globalnej konkurencyjności. Kluczowym wyzwaniem staje się więc przejście od defensywnej retoryki do aktywnej technodyplomacji i cyfrowej weryfikowalności łańcuchów dostaw. Artykuł dowodzi, że bez wypracowania sprawiedliwych reguł gry, opartych na symetrii norm, europejska integracja ryzykuje utratę społecznego zakorzenienia, zamieniając obietnicę dobrobytu w poczucie zdrady, co w konsekwencji osłabia fundamenty demokratycznej wspólnoty.

**SŁOWA KLUCZOWE**

Umowa UE-MERCOSUR | suwerenność żywnościowa | kontyngenty taryfowe | asymetria handlowa | Przemysł 4.0 | zielona transformacja | derisking | friendshoring | standardy sanitarne | globalizacja | prowizoryczne stosowanie | kompetencje wyłączne | łańcuchy wartości | modernizacja wsi | bezpieczeństwo żywnościowe

# Umowa UE-MERCOSUR: Wielki test dla europejskiej suwerenności

Umowa UE-MERCOSUR to dokument, który pod maską technokratycznego żargonu skrywa test dla całego kontynentu. W jej cieniu spotykają się historia europejskiej integracji, południowoamerykańskie ambicje i lęk polskiej wsi przed nieznanym. To tutaj interes niemieckiego przemysłu zderza się z francuską tradycją rolną, a wszystko dzieje się przy akompaniamencie marszu Przemysłu 4.0, czyli czwartej rewolucji opartej na algorytmach i automatyzacji procesów. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w Excelu wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak poczucie zdrady.

Kto postrzega ten układ wyłącznie przez pryzmat kontyngentów na wołowinę czy etanol, dostrzega zaledwie wierzchołek potężnej góry lodowej. Pod powierzchnią toczy się bowiem spór o kształt globalizacji oraz o granice suwerenności żywnościowej, czyli zdolności regionu do zapewnienia bezpieczeństwa w oparciu o własną produkcję. Chodzi o to, czy Europa potrafi jeszcze narzucać światu swoje normy, czy stała się już tylko elegancko ubranym departamentem procedur. Pytanie o

miejsce rolnika w epoce algorytmów nie jest jedynie kwestią ekonomiczną, lecz głęboko filozoficznym dylematem o sens lokalnej wytwórczości. Wszak rynek nie zostawia odcisków palców, rynek zostawia faktury, a te bywają dla europejskich producentów wyjątkowo bolesne.

W optyce Brukseli wpływ umowy na rolnictwo jest elementem koniecznej układanki geopolitycznej, służącej dywersyfikacji i otwarciu rynków dla produktów wysokiej wartości dodanej. Zwolennicy porozumienia widzą w nim instrument wzmocnienia Europy, w którym polskie gospodarstwa nie są ofiarami, lecz uczestnikami procesu chronionymi przez unijne standardy sanitarne. Komisja Europejska przekonuje, że umowa ułatwi dostęp do kluczowych surowców i zintegruje łańcuchy wartości, co ma nastąpić już od maja 2026 roku. Niemniej jednak odszkodowanie po pożarze nie jest strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli bywa czasem prezentowane jako szczyt architektury bezpieczeństwa.

Przeciwnicy tego układu, z Polską i Francją na czele, widzą jednak na tej scenie zupełnie inny, znacznie mroczniejszy spektakl. Toteż dla nich umowa to transakcja, w której europejskie rolnictwo zostaje rzucone na pożarcie gigantom z Ameryki Południowej, produkującym taniej i według innych standardów. Warszawa wskazuje na asymetrię handlową, czyli nierównowagę, w której my oferujemy technologię, a w zamian otrzymujemy żywność o niższych standardach środowiskowych. Brak adekwatnych mechanizmów ochronnych i ogromne kontyngenty na drób budzą uzasadniony opór tych, którzy żyją z ziemi i nie chcą być ceną za sukces przemysłu.

W tym pęknięciu ujawnia się dramat europejskiej polityki, gdzie jedna strona mówi językiem globalnej konkurencyjności, a druga językiem przetrwania. Pierwsza myśli kategoriami eksportu samochodów, druga zaś pyta, czy rodzinne gospodarstwo udźwignie koszty zielonej transformacji. Czy rolnik obciążony normami dobrostanu zwierząt może realnie konkurować z latyfundiami, które nie znają pojęcia europejskiego ładu? To starcie dwóch wizji świata, w którym Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju. Ostatecznie modernizacja nie może oznaczać, że ktoś na końcu zostanie z rachunkiem, którego nigdy nie zamawiał.

Jedna Europa pragnie być światowym graczem, druga zaś drży, że chłop zostanie raz jeszcze złożony w ofierze na ołtarzu nowoczesności. Stary kontynent zna tę melodię aż nazbyt dobrze, gdyż powracała ona wielokrotnie pod szlachetnie brzmiącymi nazwami industrializacji czy racjonalizacji. W tym sporze nie chodzi więc tylko o mięso czy cukier, lecz o to, czy potrafimy budować przyszłość bez niszczenia fundamentów. Demokracja nie jest systemem wypłat po szkodzie, lecz systemem współdecydowania przed szkodą, o czym Bruksela zdaje się czasem zapominać.

# Kolizja racjonalności: dlaczego rolnictwo boi się umowy z MERCOSUR

Nie można uczciwie poprzestać na prostej, niemal filmowej opowieści o zdradzie polskiej wsi przez brukselskich technokratów. Umowa UE-MERCOSUR nie jest bowiem prymitywnym aktem agresji wymierzonym w rolnictwo, lecz raczej wielowarstwowym, mozolnie wypracowanym kompromisem o nierównomiernych skutkach. Komisja Europejska oraz zwolennicy porozumienia słusznie zauważają, że potencjalne zagrożenie importowe zostało ujęte w rygorystyczne kontyngenty taryfowe, czyli limity ilościowe na import towarów przy obniżonych stawkach celnych. W oficjalnych analizach promujących ten dokument pojawia się argument, że przewidziane limity dotyczą jedynie marginalnej części europejskiej produkcji rolnej. Wołowina ma stanowić maksymalnie około 1,6 procenta unijnego rynku, drób zaledwie 1,2 procenta, zaś cukier i miód odpowiednio od kilku do dziesięciu procent. Jednocześnie Bruksela roztacza wizję nowych szans dla produktów premium, które mogłyby podbić stoły zamożniejszych mieszkańców Ameryki Południowej.

Tu jednak zaczyna się znacznie subtelniejszy problem, którego statystyka zdaje się nie dostrzegać w ferworze negocjacji. To, co w skali makroekonomicznej jawi się jako nieistotny margines błędu, w wymiarze mikroekonomicznym może okazać się siłą niszczącą całe gospodarstwa. Rynek rolny nie przypomina bowiem sterylnego modelu w arkuszu kalkulacyjnym, gdzie niewielki import rozpuszcza się bez śladu w oceanie unijnej podaży. Produkty rolne są skrajnie wrażliwe na ceny krańcowe, sezonowe wahania popytu oraz specyficzną strukturę lokalnego przetwórstwa i siłę sieci handlowych. Nawet relatywnie niewielka partia towaru, jeśli trafi na rynek w niefortunnym momencie, potrafi wywołać gwałtowny efekt psychologiczny i załamanie dochodów. Rolnictwo to wszak sektor, w którym różnica kilku groszy na kilogramie decyduje o przetrwaniu lub bankructwie.

W polskim sektorze rolnym najbardziej narażone są obszary, które już wcześniej zmagały się z potężną presją kosztową i regulacyjną. Produkcja drobiarska, wołowa oraz cukrownictwo mogą odczuć skutki umowy nie tyle przez samą masę towarową, ile przez drastyczną zmianę pozycji negocjacyjnej. Jeżeli wielkie sieci handlowe zyskują choćby teoretyczną alternatywę w postaci tańszego surowca z importu, krajowy rolnik natychmiast traci swoją siłę przetargową. Nawet gdy zagraniczny towar nie zalewa fizycznie półek, sam fakt jego dostępności skutecznie dyscyplinuje cenowo lokalnych dostawców. Taka dyscyplina w języku korporacyjnym oznacza zazwyczaj, że ktoś na samym końcu łańcucha wartości musi zacisnąć pasa. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, które dla wielu rodzinnych gospodarstw mogą stać się wyrokiem.

Zwolennicy porozumienia kontrują te obawy wizją korzyści pośrednich, które mają rzekomo zrekompensować straty poniesione przez sektor rolny. Choć kraje bloku MERCOSUR pozostają dla Polski marginalnym kierunkiem bezpośredniego eksportu, nasza gospodarka jest głęboko wpleciona w europejskie łańcuchy dostaw. Polska jako istotny dostawca komponentów dla niemieckiego przemysłu samochodowego czy chemicznego może zyskać na otwarciu rynków Ameryki Południowej. Jeśli europejscy giganci technologiczni zwiększą swoją sprzedaż w Brazylii czy Argentynie, polskie fabryki części i usługodawcy również odnotują wzrost zamówień. PISM wskazuje, że bezpośredni wpływ makroekonomiczny na nasz kraj będzie ograniczony, lecz korzyści mogą spłynąć do nas kanałami powiązań przemysłowych. Właśnie tutaj przebiega oś najgłębszego konfliktu interesów wewnątrz państwa.

Dochodzimy w tym miejscu do fundamentalnej kolizji dwóch odmiennych racjonalności, których nie da się łatwo pogodzić przy jednym stole. Polska jako nowoczesna gospodarka przemysłowo-eksportowa ma żywotny interes w tej umowie, podczas gdy Polska jako wspólnota rolnicza musi jej przeciwdziałać. Państwo nie jest wszak jednym aktorem o wspólnej kieszeni, lecz skomplikowanym organizmem, w którym zysk fabryki nie leczy ran rolnika. Jeżeli zakład produkujący części samochodowe zwiększy marżę, a gospodarstwo drobiarskie ją straci, statystyka narodowa wykaże wzrost, lecz rzeczywistość społeczna zapłonie. Nie ma bowiem nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w Excelu wygląda jak triumf dobrobytu, a w terenie jak poczucie zdrady. Demokracja nie jest systemem wypłat po szkodzie, lecz mechanizmem współdecydowania o losie wspólnoty przed jej wystąpieniem.

Droga do obecnego kształtu relacji z Ameryką Łacińską była wyjątkowo długa i pełna dyplomatycznych meandrów. Historia ta zaczyna się jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy Europa dopiero uczyła się podmiotowości na arenie międzynarodowej. Raport Martino oraz pierwsze umowy z Argentyną czy Brazylią stanowiły fundamenty, na których później nadbudowywano kolejne warstwy politycznego dialogu. Sam MERCOSUR, czyli południowoamerykański blok gospodarczy obejmujący Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, powstał w 1991 roku jako ambitny projekt integracyjny. W europejskiej optyce był on od początku postrzegany jako naturalny i pożądany partner do rozmów o przyszłości globalnego handlu. Bruksela widziała w nim nie tylko ogromny rynek zbytu, ale także lustro, w którym mogła przejrzeć się jej własna ideologia.

Ten wymiar autowalidacyjny, czyli potrzeba potwierdzenia słuszności własnego modelu rozwoju, odgrywa w działaniach Unii Europejskiej rolę kluczową. Wspólnota od dekad występuje jako tak zwana moc normatywna, czyli aktor eksportujący standardy prawne, procedury oraz wysokie normy środowiskowe. Jej ambicja polegała na przekonaniu reszty świata, że integracja regionalna

jest bardziej racjonalna niż suwerenistyczna samotność poszczególnych państw. Jeżeli Ameryka Południowa buduje unię celną i wspólny rynek, to znaczy, że model europejski nie jest jedynie historycznym dziwactwem. Jest to piękna, niemal kantowska opowieść o wiecznym pokoju budowanym poprzez handel i wspólne reguły gry. Problem polega jednak na tym, że rzeczywistość rzadko bywa tak elegancka jak filozoficzne traktaty.

W procesie tym występuje asymetria handlowa, czyli nierównowaga między bogatym centrum eksportującym technologie a peryferiami dostarczającymi surowce. Unia Europejska stara się łagodzić te napięcia poprzez pakiet warunkowości normatywnej, czyli zbiór standardów środowiskowych narzucanych partnerom handlowym. Ma to chronić europejski rynek przed nieuczciwą konkurencją, ale jednocześnie budzi opór krajów dysponujących ogromnymi zasobami rolnymi. Ostatecznie każda wielka wizja geopolityczna musi zderzyć się z brutalną prozą życia i interesami konkretnych grup społecznych. Można snuć opowieści o globalnym zarządzaniu i prawie silniejszym niż przemoc, ale na końcu i tak liczy się rachunek ekonomiczny. Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, podejmując decyzje o naszej wspólnej przyszłości.

## Prawna elegancja czy polityczny dynamit w umowie z MERCOSUR?

Formalne negocjacje z blokiem MERCOSUR, czyli południowoamerykańskim sojuszem gospodarczym obejmującym Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, ruszyły jeszcze w ubiegłym stuleciu, lecz przez dekady grzęzły w bagnie sporów o wołowinę i standardy. Dopiero rok 2019 przyniósł przełom polityczny, który po kolejnych pięciu latach dopracowywania szczegółów przeobraził się w ulepszony układ partnerski ogłoszony w grudniu 2024 roku. We wrześniu 2025 roku Komisja Europejska wykonała ruch szachowy, dzieląc porozumienie na dwa równoległe instrumenty prawne: pełny układ oraz tymczasową umowę handlową. Rada upoważniła do podpisu w styczniu 2026 roku, co sfinalizowano 17 stycznia, otwierając drogę do prowizorycznego stosowania części handlowej już od maja tego samego roku. Ta biurokratyczna chronologia, choć na pierwszy rzut oka nużąca, stanowi fundament pod konstrukcję, która ma na zawsze zmienić architekturę europejskiego handlu.

Wspomniana konstrukcja prawna nie jest jedynie popisem urzędniczej biegłości, lecz przede wszystkim precyzyjnie wymierzonym narzędziem politycznym o ogromnym znaczeniu dla przyszłości Wspólnoty. Rozdzielenie instrumentu handlowego od pełnej umowy partnerskiej pozwala ominąć rafy parlamentów narodowych, ponieważ handel stanowi domenę wyłącznych

kompetencji Unii Europejskiej. Dla zwolenników to jedyny pragmatyczny sposób na przełamanie wieloletniego paraliżu decyzyjnego, który ośmieszał Europę na arenie międzynarodowej. Krytycy widzą w tym jednak manewr instytucjonalny, który brutalnie ogranicza kontrolę demokratyczną i pozwala wdrożyć kluczowe zapisy, zanim społeczeństwa zdążą je w ogóle przemyśleć. Mamy tu do czynienia z prawną elegancją, która w rzeczywistości pachnie politycznym dynamitem, gotowym eksplodować w samym sercu europejskiej solidarności.

Polska, ramię w ramię z Francją, wyrasta na najgłośniejszego oponenta tego rozwiązania, zapowiadając zaskarżenie porozumienia do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w imię ochrony własnych interesów. Władysław Kosiniak-Kamysz argumentuje, że umowa uderza w fundamenty polskiego rolnictwa i bezpieczeństwo żywnościowe, czyli zdolność państwa do wyżywienia obywateli w oparciu o własną produkcję. Spór ten błyskawicznie ewoluuje z poziomu tabel w programie Excel na poziom konstytucyjnej wyobraźni Unii, stawiając pytania o granice strategicznej autonomii Brukseli. Czy interes całości może uzasadniać głęboką nieufność wspólnot narodowych, które czują, że ich bezpieczeństwo jest składane na ołtarzu globalnej konkurencyjności? Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w arkuszu kalkulacyjnym wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak poczucie zdrady.

Czy rolnik ma być traktowany jako podmiot polityki publicznej, czy jedynie jako koszt dostosowawczy w wielkiej grze mocarstw? To pytania niewygodne, bo zmuszają nas do wyboru między racją stanu a losem konkretnego człowieka, przypominając antyczny konflikt między prawem Kreona a sumieniem Antygony. Bez uczciwej odpowiedzi na te dylematy cała debata zamienia się w jałowy teatr, w którym jedni krzyczą o zdradzie, a drudzy o protekcjonizmie. Tymczasem prawdziwe problemy dojrzewają po cichu, niczym zboże przed wielką burzą, która może zmieść dotychczasowy porządek społeczny. Demokracja nie jest przecież systemem wypłat po szkodzie, lecz systemem współdecydowania przed szkodą, o czym Bruksela zdaje się czasem zapominać.

Z perspektywy geopolitycznej umowa z MERCOSUR stanowi logiczną próbę odpowiedzi na gwałtowną zmianę układu sił na globalnej szachownicy. Świat po pandemii i rosyjskiej agresji na Ukrainę przestał wierzyć w naiwne dogmaty liberalnej globalizacji, zastępując je twardą logiką gospodarki bezpieczeństwa. Dziś liczy się derisking, czyli praktyka polegająca na zmniejszaniu zależności od ryzykownych partnerów, oraz friendshoring, budujący łańcuchy dostaw wyłącznie w oparciu o zaufanych sojuszników. Globalizacja nie znika, ale zmienia właścicieli i system nerwowy, wymuszając na Europie walkę o surowce krytyczne i suwerenność technologiczną w nowym, wrogim otoczeniu. W tym świecie rolnik przestaje być producentem żywności, a staje się elementem skomplikowanego równania, w którym stawką jest przetrwanie kontynentu.

Unia Europejska boleśnie zrozumiała, że nie może dłużej polegać wyłącznie na osi transatlantyckiej, zwłaszcza po lekcjach płynących z nieprzewidywalności kolejnych amerykańskich administracji. Waszyngton, niezależnie od barw partyjnych, wyraźnie przesuwa swoją strategiczną uwagę ku Indo-Pacyfikowi, co dobitnie pokazały sojusze takie jak AUKUS czy Quad. Europa usłyszała dzwonek alarmowy: jeśli nie zbuduje własnej, gęstej sieci partnerstw, pozostanie jedynie bogatym półwyspem regulacyjnym przyklejonym do cudzych, dalekowschodnich strategii. Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, gdy zapadają decyzje o tak ogromnej skali makroekonomicznej. MERCOSUR to dla nich nie tylko rynek zbytu, ale przede wszystkim polisa ubezpieczeniowa na czasy, gdy stare sojusze zaczną kruszeć pod naporem nowej dwubiegunowości.

## Geopolityka kontra wieś: czy umowa z MERCOSUR to zagrożenie?

Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, gdy mowa o wielkiej geopolityce, a umowa z MERCOSUR jest tego najlepszym dowodem. Ten południowoamerykański blok gospodarczy, obejmujący Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, to w oczach Brukseli nie tylko gigantyczny rynek zbytu, ale przede wszystkim strategiczny rezerwuar surowców i energii. W centrum tej układanki stoi Brazylia – państwo o globalnych ambicjach i potencjale przemysłowym, który w epoce kryzysów łańcuchów dostaw staje się dla Europy polisą na życie. Unia patrzy na ten region z narastającym niepokojem, widząc tam intensywną ekspansję Chin, które oferują kredyty i technologie bez uciążliwego europejskiego pakietu warunkowości normatywnej, czyli zbioru standardów środowiskowych i społecznych narzucanych partnerom handlowym. W tej wielkiej grze Ameryka Południowa ma stać się atlantycką przeciwwagą dla dominacji Azji, gwarantując nam dostęp do metali ziem rzadkich i surowców niezbędnych w zielonej transformacji. Zwolennicy porozumienia przekonują, że jego sens wykracza daleko poza prozaiczny rachunek taryfowy czy zniesienie ceł na wino i maszyny. Chodzi o egzystencjalne pytanie: czy Unia zdoła zakotwiczyć ten kontynent w porządku reguł, zanim inni gracze napiszą własne zasady gry.

Jednak każda wielka geopolityczna partia szachów ma swoją cenę wewnętrzną, którą rzadko płacą ci, którzy siedzą przy dębowych stołach w Brukseli. W polskiej rzeczywistości tą ceną jest narastający niepokój rolników, dla których MERCOSUR to kolejna fala presji po bolesnych doświadczeniach z importem z Ukrainy i kosztownych wymogach Zielonego Ładu. Dla producenta z Wielkopolski czy Lubelszczyzny argumenty o ratowaniu globalnej pozycji Europy brzmią jak

elegancki, lecz całkowicie abstrakcyjny komunikat z miasta, które dawno przestało rozumieć wieś. Pojawia się tu bolesna asymetria handlowa, czyli nierównowaga w wymianie między bogatym centrum eksportującym technologie a peryferiami dostarczającymi surowce, gdzie rolnictwo staje się kartą przetargową w zamian za dostęp do rynków przemysłowych. Musimy zatem rozstrzygnąć dylemat, którego nie da się już dłużej zamiatać pod dywan: jak budować europejską autonomię strategiczną, nie zmieniając przy tym własnego rolnictwa w zmienną kompensacyjną.

Polski sektor rolny stanowi w tym kontekście fascynujące laboratorium europejskich sprzeczności, będąc tworem zawieszonym między tradycją a nowoczesnością. Nie jest on ani w pełni przemysłowy, ani archaiczny; to unikalny splot gospodarstw rodzinnych, potężnego eksportu drobiu i nowoczesnego przetwórstwa, które musi mierzyć się z globalną konkurencją. Rolnik w Polsce to postać wymykająca się prostym definicjom ekonomicznym, będąca raczej figurą antropologiczną, strażnikiem lokalnej tożsamości i aktorem politycznym o ogromnej sile rażenia. Kto nie dostrzega tej wielowarstwowości, może wprawdzie wygrać debatę w szklanych biurowcach Brukseli, ale ryzykuje utratę stabilności państwa na poziomie powiatu. Sceptycy słusznie wskazują, że otwarcie rynku uderzy w najczulsze punkty naszej gospodarki, przede wszystkim w produkcję wołowiny i drobiu, gdzie skala produkcji w Ameryce Południowej jest nieporównywalnie większa. Przemysł 4.0 w rolnictwie, czyli czwarta rewolucja oparta na cyfryzacji i algorytmach, wyznacza nową linię frontu, na której polski producent musi walczyć z gigantami operującymi w zupełnie innych warunkach środowiskowych.

Główna oś sporu dotyczy jednak czegoś głębszego niż tylko wolumeny dostaw – chodzi o elementarną sprawiedliwość konkurencyjną w świecie globalnego handlu. Europejski producent funkcjonuje w gęstej sieci regulacji dotyczących dobrostanu zwierząt, ochrony roślin i identyfikowalności produkcji, podczas gdy jego konkurent z MERCOSUR operuje w znacznie luźniejszym reżimie prawnym. Rozwiązaniem mają być klauzule lustrzane, czyli postulat, aby produkty importowane spełniały standardy równoważne wobec tych, których wymaga się od naszych rolników. W języku etyki brzmi to racjonalnie: skoro społeczeństwo wymaga wyższych standardów, to import nie powinien korzystać z przewagi kosztowej wynikającej z ich braku. Niemniej w języku prawa handlowego sprawa staje się polem minowym, gdzie zbyt twarde wymogi mogą zostać uznane za ukryty protekcjonizm i zablokowane przez międzynarodowe trybunały. To klasyczny konflikt między moralną ekonomią rynku a techniczną logiką liberalizacji, w którym stawką jest suwerenność żywnościowa, czyli zdolność regionu do zapewnienia bezpieczeństwa w oparciu o własną produkcję.

Unia Europejska, świadoma tych napięć, próbuje łagodzić nastroje za pomocą mechanizmów ochronnych i specjalnych kontyngentów taryfowych, czyli limitów ilościowych na import przy

obniżonych stawkach celnych. Zapowiedziano przyspieszony monitoring wrażliwych produktów, takich jak cukier, miód, drób czy wieprzowina, oraz stworzenie specjalnej siatki bezpieczeństwa finansowego w wysokości ponad sześciu miliardów euro. Dla brukselskich urzędników to dowód na to, że Europa nie porzuca swoich producentów, lecz dla krytyków to jedynie polityczna polisa wykupiona w celu uciszenia protestów przed wyborami. Problem polega na tym, że żaden fundusz kompensacyjny nie rozwiązuje kwestii strukturalnej, gdyż rolnik nie chce być odszkodowany za utratę sensu swojej pracy i rynku zbytu. Chce on warunków, w których nie musi przegrywać tylko po to, by później otrzymać jałmużnę z unijnej kasy w ramach łagodzenia skutków błędnych decyzji. Odszkodowanie po pożarze nie jest strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli czasem potrafi być prezentowane jako wyrafinowana architektura bezpieczeństwa.

## Pułapka asymetrii: czy polskie rolnictwo przetrwa otwarcie rynku?

Umowa między Unią Europejską a MERCOSUR, czyli południowoamerykańskim blokiem gospodarczym obejmującym Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, jest od samego początku osadzona w fundamencie głębokiej asymetrii. Z jednej strony mamy Europę – zinstytucjonalizowany, technologicznie zaawansowany i zamożny organizm, z drugiej zaś potężny terytorialnie region o niewyobrażalnych zasobach naturalnych. MERCOSUR dysponuje rolnictwem o skali niemal planetarnej, lecz boryka się z niższą produktywnością oraz słabszymi strukturami państwowymi, co czyni go zależnym od eksportu surowców. Ten układ w sposób niemal podręcznikowy odwzorowuje klasyczną strukturę centrum i peryferii, gdzie bogata Północ sprzedaje przyszłość w postaci technologii, a Południe oferuje zasoby wydarte ziemi. W takim modelu każde porozumienie handlowe staje się obosiecznym mieczem, który może albo utrwalić ten podział, albo spróbować go wreszcie przełamać.

Scenariusz pesymistyczny zakłada pogłębienie tej nierównowagi, w której MERCOSUR pozostaje dostawcą żywności i półproduktów, podczas gdy Unia zalewa tamtejsze rynki chemią, farmaceutykami i zaawansowanymi usługami. Istnieje jednak alternatywa oparta na transferze kompetencji oraz wdrażaniu przemysłu 4.0 w rolnictwie, czyli czwartej rewolucji przemysłowej opartej na cyfryzacji i algorytmach. Taka współpraca badawczo-rozwojowa mogłaby teoretycznie budować lokalną wartość dodaną w Ameryce Południowej, zamiast jedynie eksploatować jej naturalne bogactwa. Dla Polski ta asymetria handlowa, definiująca strukturę zysków i strat w wymianie między centrum a peryferiami, ma charakter wybitnie dualny i niepokojący. Jako członek unijnej wspólnoty należymy do regulacyjnego jądra, które czerpie wymierne korzyści z eksportu

maszyn, części oraz szeroko rozumianego know-how. Jednocześnie nasze rolnictwo, zwłaszcza w swoich mniej skonsolidowanych segmentach, zaczyna odczuwać presję typową dla peryferii wewnętrznej, gdzie wysokie wymagania zderzają się z niską siłą przetargową.

To właśnie tutaj objawia się najpełniej paradoks polskiej modernizacji, w którym nasz kraj staje się jednocześnie beneficjentem integracji przemysłowej i ofiarą otwarcia rynków rolnych. Znajdujemy się wewnątrz globalnych łańcuchów wartości, ale jednocześnie czujemy ich narastający ciężar, eksportując nowoczesne komponenty, lecz importując egzystencjalny niepokój o los wsi. W statystykach makroekonomicznych możemy odnotowywać awans do wyższej ligi, podczas gdy w emocjach społecznych dominuje poczucie degradacji i utraty kontroli nad własnym losem. Historia tej transformacji uczy nas, że rynek, choć bywa genialnym mechanizmem alokacji, potrafi sprawnie rozwiązywać jedne problemy, generując w ich miejsce kolejne, znacznie trudniejsze do opanowania. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców. Rynek zostawia faktury, które ktoś na końcu musi opłacić własnym bankructwem.

W relacjach między Brukselą a krajami Ameryki Południowej instytucje pełnią rolę analogiczną do tej, jaką dla rolnictwa pełni gleba – są fundamentem, o którym rzadko wspomina się w triumfalnych przemówieniach. Można podpisać najbardziej ambitną umowę, wynegocjować korzystne kontyngenty taryfowe i ogłosić historyczne zwycięstwo multilateralizmu, ale bez solidnych struktur wykonawczych to tylko papier. Unia Europejska jest organizmem prawnym o silnej ponadnarodowości, podczas gdy MERCOSUR pozostaje strukturą międzyrządową, rozpiętą między ambicją integracji a twardym narodowym pragmatyzmem. Cała ta konstrukcja przypomina most budowany z dwóch zupełnie różnych materiałów, gdzie jeden filar odlano z regulacyjnego żelbetu, a drugi wyciosano z politycznego drewna. Takie drewno ma tendencję do trzeszczenia pod wpływem wilgoci wyborczej, co sprawia, że stabilność całego porozumienia staje pod wielkim znakiem zapytania.

Formalnie rzecz biorąc, dostęp produktów wrażliwych z MERCOSUR do wspólnego rynku ma być ograniczony, stopniowy i poddawany rygorystycznemu monitoringowi ze strony Komisji Europejskiej. Bruksela obiecuje uruchamianie klauzul ochronnych w razie rynkowych zaburzeń oraz zapowiada imponującą siatkę bezpieczeństwa dla rolników o wartości ponad sześciu miliardów euro. Rada Unii Europejskiej wdrożyła nawet specjalne regulacje, które mają umożliwić błyskawiczną reakcję w sytuacjach, gdy import zagrozi interesom europejskich producentów żywności. Jednak polityczna ekonomia rolnictwa rzadko kieruje się wyłącznie tym, co zapisano drobnym drukiem w oficjalnych dokumentach czy aneksach do traktatów. Kluczowe staje się pytanie o to, kto posiada realną zdolność dowodzenia szkody, kto dysponuje aparatem statystycznym i kto potrafi przełożyć ból rynku na język procedury. Mechanizm ochronny

przypomina parasol zamknięty w instytucjonalnej szafie, który jest użyteczny tylko wtedy, gdy ktoś zdąży go wyjąć przed nadejściem ulewy. Polscy rolnicy nie pytają więc o istnienie parasola, lecz o to, kto w Brukseli trzyma klucz do szafy.

Dla unijnych technokratów problem ten wydaje się rozwiązywalny poprzez techniczne monitorowanie cen, stopniowanie liberalizacji oraz możliwość czasowego zawieszenia preferencji handlowych. W tej optymistycznej narracji kontyngenty taryfowe, czyli limity ilościowe na import towarów przy obniżonych stawkach celnych, mają działać niczym precyzyjne zawory bezpieczeństwa. System ten ma rzekomo chronić europejską produkcję wołowiny, cukru czy miodu przed niekontrolowanym zalewem, łącząc interesy eksporterów z ochroną wrażliwych sektorów rolnych. Sceptycy, wśród których prym wiedzie polski rząd, wskazują jednak na wadę pierworodną tej konstrukcji, zakładającą, że szkoda rynkowa jest zjawiskiem łatwo mierzalnym i odwracalnym. W rzeczywistości rolnicze straty bywają rozłożone w czasie, ukryte w marżach przetwórców i wzmocnione przez potężne sieci handlowe, stając się widocznymi dopiero po upadku gospodarstw. Gdy cena skupu drastycznie spada, producent rzadko jest w stanie udowodnić bezpośredni związek przyczynowy z konkretnym transportem towarów z Brazylii czy Argentyny.

Polska ma zatem pełne prawo domagać się szczególnej ostrożności, co znalazło swój wyraz w zapowiedzi skargi do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w kwietniu 2026 roku. Argumentacja Warszawy, wskazująca na zagrożenie dla bezpieczeństwa żywnościowego i interesów rynku krajowego, nie jest jedynie aktem doraźnego protekcjonizmu czy elementem gry wyborczej. To fundamentalny spór o to, czy unijna polityka handlowa potrafi właściwie wycenić koszty społeczne otwarcia granic i czy nie poświęca stabilności lokalnych społeczności na ołtarzu wzrostu PKB. Chodzi tu o suwerenność żywnościową, czyli zdolność państwa do zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego w oparciu o własną produkcję, co w dobie globalnych kryzysów staje się kwestią kluczową. Rolnictwo nie jest bowiem zwykłym sektorem gospodarki, który można zastąpić importem usług czy cyfrowych produktów, lecz stanowi infrastrukturę biologicznego bezpieczeństwa wspólnoty.

## Asymetria norm i kapitału: czy umowa z MERCOSUR to zagrożenie?

Kiedy upada fabryka krzeseł, mamy do czynienia z lokalnym dramatem gospodarczym, który można opisać w kategoriach statystyki bezrobocia i utraconych wpływów podatkowych. Kiedy jednak kruszeje zdolność żywnościowa całego regionu, przestajemy rozmawiać o czystej ekonomii, a zaczynamy o suwerenności, czyli fundamencie trwania każdej wspólnoty politycznej. W tym

kontekście instytucje jawią się jako owa ukryta zmienna handlu, która decyduje o tym, czy wymiana towarowa jest budowaniem wspólnego dobrobytu, czy jedynie transferem problemów. Literatura ekonomiczna od dekad przekonuje nas, że handel i bezpośrednie inwestycje zagraniczne, czyli kapitał lokowany w konkretne przedsięwzięcia produkcyjne, zależą od jakości otoczenia prawnego. Rządy prawa, przewidywalność podatkowa oraz sprawność sądów to nie są jedynie ozdobniki w raportach Banku Światowego, lecz realne koszty prowadzenia biznesu. Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, próbując ustalić, czy dana inwestycja to modernizacja, czy tylko krótkoterminowa eksploatacja okazji.

W przypadku bloku MERCOSUR kwestia ta staje się fundamentalna, ponieważ region ten od lat zmaga się z chroniczną zmiennością polityk gospodarczych i napięciami fiskalnymi. Argentyna stanowi tu podręcznikowy przykład gospodarki o gigantycznym potencjale rolnym i energetycznym, która jednocześnie tkwi w pętli makroekonomicznej niestabilności. Brazylia pozostaje kontynentalnym gigantem, którego skala nieustannie przyciąga globalnych inwestorów, lecz tamtejszy system administracyjny wymaga od kapitału niemal nadludzkiej kompetencji adaptacyjnej. Z kolei Urugwaj, postrzegany jako instytucjonalna oaza stabilności, coraz śmielej dąży do autonomii handlowej, spoglądając z nadzieją w stronę Pekinu. Paragwaj natomiast umiejętnie korzysta z niższych kosztów produkcji, nie będąc obciążonym strukturalnymi problemami swoich większych sąsiadów. Cały MERCOSUR jest więc organizmem głęboko niespójnym, a ta wewnętrzna nierówność drastycznie komplikuje jakiekolwiek próby symetrycznej współpracy z Unią Europejską.

Dla polskiego sektora rolnego oznacza to, że konkurencja z południowoamerykańskim blokiem nie będzie starciem z jednolitym i regulacyjnie przewidywalnym partnerem. Będzie to raczej konfrontacja z gospodarkami o zupełnie innych kosztach ziemi, odmiennych standardach środowiskowych oraz innej skali koncentracji produkcji. W języku teorii handlu można stwierdzić, że przewaga komparatywna MERCOSUR w rolnictwie jest zjawiskiem realnym i mierzalnym. Niemniej w języku ekonomii moralnej należy dodać, że znaczna część tej przewagi wynika z drastycznej różnicy w normach, której polski rolnik nie jest w stanie zneutralizować samą tylko pracowitością. Nie da się bowiem ciężką pracą obniżyć kosztów narzuconych regulacji, jeśli konkurent startuje z zupełnie innego pola prawnego. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, które w tym przypadku są wystawiane według dwóch różnych taryfikatorów.

W tym miejscu pojawia się kluczowe pytanie o klauzule lustrzane, czyli mechanizmy wymuszające, aby importowane produkty spełniały te same wymogi produkcyjne, co towary wytwarzane wewnątrz Unii. Politycy krytyczni wobec obecnego kształtu umowy słusznie wskazują, że

sprawiedliwy handel wymaga nie tylko kontroli jakości produktu końcowego, lecz przede wszystkim porównywalności warunków jego powstania. Jeżeli polski producent ma stosować kosztowne standardy dobrostanu zwierząt, rygorystyczną ochronę środowiska i systemy śledzenia pochodzenia, to import powinien spełniać analogiczne, weryfikowalne wymogi. Nie chodzi tu o naiwne dążenie do zamknięcia rynku przed światem, lecz o zakaz importowania przewagi kosztowej zbudowanej na cudzej tolerancji wobec kosztów ukrytych. Mówiąc brutalnie: nie można kazać polskiemu rolnikowi śpiewać hymnu Zielonego Ładu, a potem kazać mu konkurować z kimś, kto gra według znacznie tańszej i mniej wymagającej partytury.

Bezpośrednie inwestycje zagraniczne w relacjach między Europą a Ameryką Południową stanowią drugi, niezwykle wrażliwy nerw tego porozumienia. Unia Europejska nie chce być postrzegana wyłącznie jako importer żywności i eksporter luksusowych samochodów, lecz aspiruje do roli globalnego regulatora i partnera technologicznego. MERCOSUR natomiast desperacko potrzebuje nowoczesnej infrastruktury, cyfryzacji administracji oraz kapitału zdolnego podnieść ogólną produktywność przemysłu. Na papierze te interesy wydają się idealnie uzupełniać, tworząc wizję małżeństwa z rozsądku, które z czasem mogłoby przerodzić się w trwałą sympatię. W świecie realnym jednak inwestycje nigdy nie są neutralne, a kluczowe pytanie brzmi: kto ostatecznie będzie kontrolował wartość dodaną i wyznaczał standardy produkcji? Nie ma bowiem nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w Excelu wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak dojmujące poczucie zdrady lokalnych interesów.

Jeżeli europejskie inwestycje będą wzmacniały jedynie logistykę eksportową i zdolność MERCOSUR do zalewania unijnego rynku tanią żywnością, polski rolnik słusznie uzna je za egzystencjalne zagrożenie. Jeśli jednak kapitał ten posłuży do budowy wspólnego systemu certyfikacji, technologii klimatycznych i cyfrowych standardów rolnych, wtedy może stać się narzędziem uczciwszej konkurencji. To jest właśnie fundamentalna różnica między inwestycją eksploatacyjną a inwestycją instytucjonalną, gdzie ta pierwsza wyciska zyski z istniejących nierówności, a druga stara się je niwelować poprzez podnoszenie standardów. Dla Polski kluczowe jest, aby Bruksela nie finansowała pośrednio konkurencji, która w dłuższej perspektywie doprowadzi do osłabienia europejskich producentów żywności. Odszkodowanie po pożarze nie jest przecież strategią przeciwpożarową, choć w unijnych kuluarach czasem bywa prezentowane jako szczyt architektury bezpieczeństwa.

Bruksela, chcąc realnie modernizować MERCOSUR, powinna twardo powiązać inwestycje z pełną identyfikowalnością łańcuchów dostaw oraz rygorystyczną kontrolą deforestacji. W przeciwnym razie hasło o zrównoważonym rozwoju pozostanie jedynie elegancką tapetą na ścianie magazynu wypełnionego tanią wołowiną, produkowaną kosztem ekosystemu. W tle tych sporów majaczy

jednak cień Chin, które nie zamierzają czekać, aż Europa rozstrzygnie swoje wewnętrzne dylematy między interesem przemysłu a rolnictwa. Pekin inwestuje w porty, energetykę i systemy cyfrowe z prędkością, której unijna biurokracja nie jest w stanie dorównać. Geopolityka nie nagradza bowiem wyłącznie tych, którzy mają rację moralną, lecz przede wszystkim tych, którzy dysponują gotowym finansowaniem i napiętym harmonogramem działań. Państwa Południa, maksymalizując swoje pole manewru, nie chcą być jedynie pilnymi uczniami w europejskiej szkole norm, lecz szukają partnerów, którzy realnie wzmocnią ich pozycję w turbulentnym świecie handlu.

## Strategia dla polskiej wsi: od surowca do produktu premium

W polskiej debacie publicznej rolnik bywa obsadzany w rolach skrajnych: albo jako bezradna ofiara globalnych procesów, albo jako uparty hamulcowy nowoczesności. Takie postrzeganie rzeczywistości jest nie tylko krzywdzące, ale przede wszystkim intelektualnie leniwe, bowiem ignoruje potencjał tkwiący w nowoczesnej wsi. Polska wieś mogłaby stać się beneficjentem nowej architektury handlowej, gdyby tylko państwo przestało traktować ją jako sektor wymagający doraźnego uspokajania po fakcie. Odszkodowanie po pożarze nie jest wszak strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli bywa prezentowane jako szczyt architektury bezpieczeństwa. Zamiast pasywnej obrony, potrzebujemy włączenia rolnictwa w krwiobieg globalnej strategii gospodarczej jako jej kluczowego, a nie brakującego ogniwa.

Fundamentem tej zmiany musi być radykalne wzmocnienie krajowego przetwórstwa, ponieważ eksport surowca zawsze będzie ekonomicznie słabszy niż sprzedaż produktu markowego i certyfikowanego. Jeśli chcemy skutecznie bronić polskiego rolnictwa, nie możemy postrzegać gospodarstwa jako samotnej wyspy walczącej z ratą kredytu i ceną nawozów. Musimy budować cały ekosystem, obejmujący spółdzielczość nowego typu, nowoczesne chłodnictwo oraz cyfrowe systemy śledzenia pochodzenia produktów premium. Bez tych narzędzi polski producent pozostanie jedynie dostawcą półproduktów w łańcuchu, którego reguły i marże ustalają gracze dysponujący lepszą logistyką. W tych ogniwach, a nie na polu, powstaje dziś wartość dodana, która obecnie omija kieszenie rolników.

Kolejnym krokiem jest przeniesienie ciężaru dyskusji z pytania „czy importować” na kwestię „według jakich standardów mierzyć jakość”. Polska powinna przewodzić europejskiej koalicji na rzecz twardej identyfikowalności towarów z MERCOSUR, czyli południowoamerykańskiego bloku gospodarczego dysponującego potężnymi zasobami rolnymi. Każdy kilogram wołowiny czy cukru przekraczający unijną granicę musi posiadać cyfrowy paszport dokumentujący normy sanitarne,

środowiskowe oraz brak powiązań z deforestacją. Skoro współczesne systemy bankowe potrafią śledzić mikrotransakcje w czasie rzeczywistym, to nasza cywilizacja powinna umieć ustalić, czy dany stek nie wyrósł na popiele wypalonego lasu deszczowego. Technologia do realizacji takich zadań już istnieje, brakuje jedynie politycznej konsekwencji w jej powszechnym wdrożeniu.

Trzecim filarem strategii jest wzmocnienie siły negocjacyjnej producentów wobec potężnych sieci handlowych i wielkich przetwórców. Największym zagrożeniem dla rolnika często nie jest sam import, lecz sposób, w jaki staje się on narzędziem presji cenowej w rękach silniejszych ogniw rynku. Gdy sieć handlowa sugeruje krajowemu dostawcy, że tańsza alternatywa już czeka w porcie, cena polskiego produktu drastycznie spada, nawet przy niewielkim wolumenie importu. Dlatego ochrona rolnictwa wymaga sprawnego prawa konkurencji, pełnej przejrzystości marż oraz realnego wsparcia dla silnych organizacji producentów. Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, planując ruchy, które w Excelu wyglądają jak optymalizacja, a w terenie jak ekonomiczna zdrada.

Ostatecznie Polska musi wykorzystać napięcia wokół umowy z MERCOSUR jako katalizator do głębokiej rewizji własnej, często niespójnej polityki rolnej. Suwerenność żywnościowa, czyli zdolność państwa do zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego w oparciu o własną produkcję, nie może być jedynie pustym hasłem wyborczym. Wymaga ona bowiem przejścia od archaicznego modelu konkurowania niską ceną surowca do budowania przewagi opartej na jakości, technologii i zintegrowanym łańcuchu wartości. Tylko w ten sposób polski rolnik przestanie być traktowany jako kłopotliwy relikt przeszłości, a stanie się nowoczesnym graczem na globalnej szachownicy. Zamiast bać się świata, musimy nauczyć się narzucać mu nasze reguły gry, zanim inni nas ubiegną.

## Cyfrowa modernizacja jako nowa strategia polskiej wsi

Nie wystarczy już tylko powtarzać, że Bruksela nas krzywdzi, bo w świecie globalnych przepływów samo poczucie krzywdy nie stanowi strategii przetrwania. Musimy zapytać, czy polskie rolnictwo posiada plan wejścia w epokę Przemysłu 4.0, czy też zamierza pozostać w jałowej retoryce czysto obronnej. Obrona interesów jest koniecznością, niemniej sama defensywa nie tworzy przyszłości, a jedynie opóźnia moment konfrontacji z nieuniknionym. Nie da się zatrzymać globalnych łańcuchów dostaw za pomocą transparentu, choć bywa on jedynym sposobem, by ktoś wreszcie przeczytał nasz rachunek krzywd. Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, gdy zapadają decyzje o losie lokalnych rynków. Rolnictwo nie ucieknie przed algorytmem, ponieważ czwarta rewolucja przemysłowa po prostu zmienia reguły gry na każdym polu.

Przemysł 4.0 kojarzy się zazwyczaj z fabrykami, lecz jego konsekwencje dla rolnictwa są równie głębokie i rewolucyjne. Rolnictwo przyszłości będzie bowiem oparte na gigantycznych zbiorach danych klimatycznych, satelitarnych oraz genetycznych, które zastąpią tradycyjną intuicję precyzyjną analityką. Będzie ono korzystało z dronów monitorujących uprawy, systemów cyfrowego śledzenia dobrostanu zwierząt oraz zaawansowanych algorytmów optymalizacji pasz. Wszak inteligentna gospodarka wodna i modele predykcji chorób to nie są już gadżety, lecz fundamenty nowoczesnej efektywności. Przemysł 4.0 w rolnictwie, czyli czwarta rewolucja oparta na cyfryzacji i automatyzacji, wyznacza nową linię frontu, przed którą nie ma ucieczki.

Konkurencja między polskim gospodarstwem a agroprzemysłem MERCOSUR nie będzie już wyłącznie walką na koszty pracy czy powierzchnię uprawną. Stanie się ona przede wszystkim konkurencją danych, gdzie przewagę zyska ten, kto potrafi szybciej zinterpretować sygnały z otoczenia. Kto będzie dysponował lepszymi informacjami o wilgotności gleby czy logistyce, ten wyprodukuje żywność taniej, szybciej i w sposób bardziej przewidywalny. Cyfrowa identyfikowalność pozwoli łatwiej udowodnić jakość produktu, co w dobie świadomego konsumpcjonizmu staje się kluczową kartą przetargową. Kto zintegruje certyfikację środowiskową z danymi satelitarnymi, ten bez trudu wejdzie na rynek premium. Podmioty o słabej infrastrukturze cyfrowej zostaną nieuchronnie wypchnięte do segmentu niskiej marży, gdzie jedynym argumentem pozostaje cena.

Umowa UE-MERCOSUR powinna być zatem czytana jako impuls do cyfrowej modernizacji polskiego rolnictwa, a nie tylko jako zagrożenie importowe. Nie chodzi o akceptację każdego ryzyka, lecz o zrozumienie, że samo blokowanie importu w dłuższej perspektywie po prostu nie wystarczy. Jeżeli polska wieś nie otrzyma nowoczesnych narzędzi cyfrowych, kapitału oraz doradztwa, jej opór wobec globalizacji będzie stawał się coraz bardziej desperacki. Desperacja społeczna jest bowiem wydajnym paliwem dla polityki, która obiecuje zatrzymać świat za pomocą jednego, prostego zakazu. Świat jednak rzadko zatrzymuje się na zakazie, a co najwyżej skręca bokiem. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, których nie da się spłacić samymi emocjami.

Czwarta rewolucja przemysłowa dotyka również administracji rolnej, która musi porzucić statyczną rolę na rzecz aktywnego zarządzania informacją. Państwo musi umieć monitorować import, ceny oraz ryzyka środowiskowe w czasie zbliżonym do rzeczywistego, aby skutecznie chronić producentów. Jeśli unijne procedury ochronne mają działać szybko, potrzebują stałego dopływu wiarygodnych danych, a nie fragmentarycznych raportów z przeszłości. W epoce sztucznej inteligencji administracja nie może funkcjonować jak archiwum z pieczątką, lecz musi działać jak

system wczesnego ostrzegania. Odszkodowanie po pożarze nie jest wszak strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli czasem bywa prezentowane jako architektura bezpieczeństwa.

W tym miejscu technodyplomacja, czyli zdolność państw do negocjowania technologicznych warunków bezpieczeństwa żywnościowego, spotyka się z codzienną praktyką rolniczą. Nie jest to jedynie modne słowo, lecz realne narzędzie walki o podmiotowość na globalnym rynku. Jeśli Unia Europejska zamierza sprowadzać produkty rolne z MERCOSUR, musi jednocześnie współtworzyć rygorystyczny system cyfrowej kontroli ich pochodzenia. Polska, chcąc bronić własnych producentów, powinna domagać się pełnego dostępu do danych oraz niezależnych mechanizmów audytu u dostawców. Technodyplomacja sprawia, że paszport żywności staje się kluczowym narzędziem geopolityki, definiującym granice między uczciwą konkurencją a wyzyskiem.

Technodyplomacja oznacza, że standard technologiczny staje się przedmiotem negocjacji tak samo istotnym, jak przebieg granic państwowych czy wysokość ceł. W przypadku umowy UE-MERCOSUR dotyczy to nie tylko rolnictwa, ale całej infrastruktury 5G, cyberbezpieczeństwa oraz systemów certyfikacji środowiskowej. Przyszłość polskiego rolnictwa zależy zatem nie tylko od poziomu kontyngentów taryfowych, lecz przede wszystkim od architektury danych obsługującej handel. Wyobraźmy sobie system, w którym każda partia mięsa posiada pełny cyfrowy ślad, dokumentujący brak powiązania z deforestacją czy historię transportu. Taki system nie jest wizją science fiction, lecz konkretną decyzją polityczną. Bez takiej weryfikowalności europejski konsument będzie skazany jedynie na mgliste zapewnienia, które mają niewielką wartość w rzeczywistości.

Różnica między zapewnieniem a weryfikowalnością jest w istocie różnicą między ulotną reklamą a solidną instytucją gwarantującą bezpieczeństwo obrotu. Dla Polski technodyplomacja może być sposobem wyjścia poza defensywną pozycję i szansą na aktywne kształtowanie reguł gry. Zamiast mówić wyłącznie "nie", możemy proponować handel oparty na mierzalności, cyfrowej przejrzystości oraz pełnej symetrii regulacyjnej. To nie jest protekcjonizm, lecz próba cywilizowania globalizacji, która bez odpowiednich ram technologicznych staje się po prostu nieuczciwa. Kto pragnie korzystać z zamożnego konsumenta w UE, musi wejść do europejskiego reżimu odpowiedzialności i zaakceptować nasze zasady.

Tak rozumiana technodyplomacja stanowi także odpowiedź na chińską ekspansję technologiczną w Ameryce Łacińskiej, która bezpośrednio zagraża europejskiej zdolności regulacyjnej. Jeśli cyfrowe systemy logistyki i płatności w krajach MERCOSUR będą budowane przez chińskich dostawców, Europa utraci realny wpływ na standardy. Będziemy mogli wprawdzie pisać najpiękniejsze kodeksy, ale dane i infrastruktura będą zależeć od podmiotów zewnętrznych. To sytuacja, w której

sędzia dysponuje wprawdzie kodeksem, ale nie ma dostępu do akt sprawy, którą ma rozstrzygnąć. A bez wglądu w akta sprawy nawet najpiękniejszy kodeks staje się jedynie literaturą piękną.

Współcześni obrońcy liberalizacji handlu argumentują, że umowa UE-MERCOSUR pozwoli obniżyć ceny, zwiększyć konkurencję i wzmocnić pozycję Unii wobec Chin. Wskazują oni, że produkty wrażliwe są chronione kontyngentami taryfowymi, czyli limitami ilościowymi na import przy obniżonych stawkach celnych. Eksperci z CEPS podkreślają, że konkurencja z MERCOSUR bywa przeceniana, ponieważ liberalizacja jest częściowa, stopniowa i obwarowana licznymi zabezpieczeniami. Niemniej jednak, suwerenność żywnościowa, czyli zdolność regionu do zapewnienia bezpieczeństwa w oparciu o własną produkcję, pozostaje pytaniem o przetrwanie lokalnych rolników. Demokracja nie jest systemem wypłat po szkodzie, lecz systemem współdecydowania przed szkodą, co w dobie globalnych napięć staje się kluczowe.

## Od protestu do strategii: jak mądrze zarządzać umową z MERCOSUR

Argument ma swoją wagę, lecz bynajmniej nie zamyka on skomplikowanej dyskusji o przyszłości polskiej wsi w dobie globalnych przetasowań. Z perspektywy polityki publicznej nie wystarczy bowiem stwierdzić, że wpływ makroekonomiczny umowy jest ograniczony, gdyż diabeł zawsze tkwi w szczegółach rozkładu skutków. Liberalizacja może być zbawienna dla gospodarki jako całości, a jednocześnie druzgocąca dla konkretnych regionów, grup producentów i tradycyjnych modeli gospodarowania. To klasyczny problem ekonomii politycznej: dobrobyt zagregowany rzadko kiedy odpowiada sprawiedliwości dystrybucyjnej, co rodzi nieuniknione napięcia społeczne. Nie ma wszak nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w arkuszu kalkulacyjnym wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak poczucie zdrady.

Krytycy wolnego handlu pozbawionego silnej korekty instytucjonalnej, od Daniego Rodrika po Josepha Stiglitza, od lat ostrzegają przed globalizacją bez społecznego zakorzenienia. Ich zdaniem handel jest jedynie narzędziem, a nie sakramentem, który należy przyjmować z bezkrytyczną wiarą w jego zbawczą moc. Może on budować powszechny dobrobyt, ale równie dobrze potrafi utrwalać asymetrie, przenosić koszty na słabszych i rozbijać lokalne wspólnoty produkcyjne. W przypadku porozumienia UE-MERCOSUR oznacza to, że umowa musi zostać obudowana gęstą siecią polityk osłonowych, inwestycyjnych oraz technologicznych. Bez tego stanie się ona kolejną lekcją z cyklu: elity podpisały, ludzie zapłacili, a potem wszyscy dziwią się nagłym wybuchom populizmu.

Z drugiej strony, krytycy protekcjonizmu również dysponują arsenałem mocnych argumentów, których nie sposób zignorować w racjonalnej debacie. Samo zamknięcie rynku nie modernizuje automatycznie rolnictwa, a wręcz przeciwnie – może utrwalać niską produktywność i skutecznie blokować niezbędne innowacje. Chronienie każdego sektora bez względu na koszty sprawia, że Europa powoli staje się muzeum dobrobytu z coraz droższym biletem wstępu dla przeciętnego konsumenta. Taka postawa wzmacnia jedynie partykularne grupy interesu, zamiast budować odporność całego systemu żywnościowego na globalne wstrząsy. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, które ktoś ostatecznie musi uregulować przy kasie.

Dlatego też racjonalna pozycja negocjacyjna nie powinna polegać na prostym, emocjonalnym „tak" lub „nie", lecz na twardym, warunkowym „tak, ale". Oznacza to zgodę na wymianę, ale stanowczy sprzeciw wobec dumpingu regulacyjnego, czyli praktyki polegającej na zyskiwaniu przewagi cenowej poprzez ignorowanie norm środowiskowych i społecznych. Polska powinna dążyć do partnerstwa z MERCOSUR, czyli południowoamerykańskim blokiem gospodarczym dysponującym ogromnymi zasobami rolnymi, bez jednoczesnego poświęcania własnych rolników na ołtarzu wielkiej geopolityki. Musimy walczyć o konkurencję opartą na jakości, a nie o rywalizację między wyśrubowaną normą a jej całkowitym brakiem. Strategiczna odpowiedź Warszawy musi zatem ewoluować od głośnego protestu do precyzyjnego projektowania nowych reguł gry.

Polska powinna przekształcić swój dotychczasowy sprzeciw w konkretną propozycję instytucjonalną, gdyż sam opór może zatrzymać procesy globalne tylko na krótką chwilę. Jeżeli tymczasowa umowa handlowa ma wejść w życie już w maju 2026 roku, sama retoryka obronna okaże się niewystarczającym pancerzem dla krajowych producentów. Potrzebujemy strategii działania w warunkach, w których porozumienie zacznie obowiązywać mimo sprzeciwu części państw członkowskich Wspólnoty. Pierwszym krokiem powinno być żądanie powołania stałego europejskiego obserwatorium skutków rolnych umowy z osobnym modułem dla państw szczególnie narażonych. Zamiast ogólnych raportów publikowanych po latach, potrzebujemy twardych danych kwartalnych, sektorowych i regionalnych, które pozwolą na bieżąco monitorować sytuację.

Kolejnym filarem polskiej strategii musi być budowa koalicji państw zainteresowanych klauzulami lustrzanymi oraz cyfrową identyfikowalnością importu z Ameryki Południowej. Musimy domagać się pełnego automatyzmu reakcji w przypadku gwałtownego spadku cen w sektorach wrażliwych, aby procedury ochronne nie stały się jedynie martwym zapisem w unijnych archiwach. Odszkodowanie po pożarze nie jest wszak strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli czasem bywa prezentowane jako szczyt architektury bezpieczeństwa. Ostatecznie należy powiązać zgodę na dalsze pogłębianie relacji z MERCOSUR z mierzalnymi standardami środowiskowymi i

sanitarnymi, których nie da się obejść. Tylko w ten sposób Polska może realnie wpłynąć na kształt globalnego handlu, zamiast jedynie przyglądać się mu z boku.

## Między brukselskim optymizmem a przetrwaniem polskiej wsi

Polska winna wykorzystać unijne fundusze na modernizację rolnictwa cyfrowego i przetwórstwa, bowiem to właśnie w tym punkcie zbiegają się interesy narodowe oraz wspólnotowe. Nadszedł moment, w którym polska wieś może przestać być postrzegana jako strukturalny problem, a stać się kluczowym filarem europejskiej suwerenności żywnościowej. Suwerenność ta, czyli zdolność regionu do zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego w oparciu o własną produkcję, nie ma nic wspólnego z naiwną autarkią, lecz polega na budowie odpornych łańcuchów dostaw. Jeśli Bruksela z taką emfazą mówi o strategicznej autonomii, nie może jednocześnie podcinać korzeni własnej produkcji żywności, która stanowi fundament tejże odporności. Pandemia oraz wojna na Ukrainie dobitnie pokazały, że zależności handlowe, które w czasach prosperity uchodziły za szczyt efektywności, w godzinie próby stają się narzędziem bezwzględnego szantażu.

Umowa UE-MERCOSUR, czyli porozumienie z południowoamerykańskim blokiem gospodarczym obejmującym Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, stanowi dziś dla Europy swoisty egzamin z politycznej dojrzałości. Nie wolno nam ulec antyimportowej histerii, ale równie niebezpieczne byłoby przyjęcie bezkrytycznego, brukselskiego optymizmu niczym technokratycznej hostii, która ma rzekomo uzdrowić rynek. Prawdziwa odpowiedź na to wyzwanie kryje się w precyzyjnym projektowaniu reguł, zabezpieczeń oraz standardów, które realnie ochronią europejskiego producenta przed nieuczciwą konkurencją. Aluzja do Odyseusza jest tu kusząca: Europa przywiązała się do masztu wolnego handlu, by nie ulec syrenom protekcjonizmu, ale zapomniała, że załoga musi przeżyć tę podróż. A tą załogą, o czym często zapominają sternicy z Brukseli, są przede wszystkim rolnicy, na których barkach spoczywa ciężar tej ryzykownej wyprawy.

Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, ale rzadko mówią wspólnym głosem, co najwyraźniej widać właśnie w sporze o MERCOSUR. Jeżeli pierwsza część tego konfliktu toczy się w sterylnych gabinetach przy użyciu języka traktatów, to jego finał musi wreszcie zejść na ziemię, do konkretnego kurnika, obory czy cukrowni. To właśnie tam abstrakcyjna liberalizacja handlu przestaje być eleganckim hasłem z konferencji prasowej, a staje się brutalnym pytaniem o cenę kilograma żywca, koszt paszy oraz ratę kredytu. Rolnik zna tę cichą tabelę kosztów znacznie lepiej niż niejeden minister zna treść własnej ustawy, bowiem dla niego nie jest to statystyka, lecz kwestia przetrwania kolejnego sezonu. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego

niż polityka, która w Excelu wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak dojmujące poczucie zdrady i opuszczenia przez państwo. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, które na koniec dnia ktoś musi opłacić z własnej marży.

Politycy unijni broniący porozumienia operują zazwyczaj językiem proporcji, wskazując na precyzyjnie wyliczone kontyngenty taryfowe, czyli limity ilościowe na import towarów przy obniżonych stawkach celnych. Przekonują oni, że bezcłowy import 180 tysięcy ton drobiu, wprowadzany stopniowo przez pięć lat, stanowi zaledwie ułamek unijnej produkcji i nie zachwieje stabilnością rynku. Komisja zapewnia, że standardy bezpieczeństwa pozostaną nienaruszone, a sektory wrażliwe otrzymają zabezpieczenia chroniące je przed zalewem produktów z Ameryki Południowej. To argumentacja formalnie poprawna i merytorycznie ciężka, niemniej z perspektywy społecznej okazuje się ona całkowicie niewystarczająca i pozbawiona empatii. Odszkodowanie po pożarze nie jest przecież strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli bywa czasem prezentowane jako szczytowe osiągnięcie architektury bezpieczeństwa.

## Asymetria standardów: dlaczego polska wieś boi się MERCOSUR

Rynek rolny, wbrew powszechnym wyobrażeniom, nie przypomina wanny, do której wlewa się określoną ilość importu, by spokojnie obserwować, czy poziom wody przekroczył już czerwoną kreskę bezpieczeństwa. Jest to raczej skomplikowany system naczyń połączonych, w którym nawet najmniejszy impuls cenowy w jednym segmencie potrafi błyskawicznie zmienić zachowanie przetwórców oraz sieci handlowych. Jeżeli importowana wołowina, drób czy cukier nie zdominują fizycznie rynku, to i tak stworzą niebezpieczny punkt odniesienia dla wszystkich negocjacji cenowych. Skutki takiego zjawiska mogą być znacznie głębsze, niż sugerowałby to sam wolumen towarów wjeżdżających do kraju na ciężarówkach. W polskiej gospodarce rolnej nie potrzeba przecież potopu, aby pola stały się nieznośnie mokre i trudne do uprawy. Czasem wystarczy po prostu stała wilgoć niepewności, która skutecznie paraliżuje wszelkie długofalowe decyzje inwestycyjne. To cichy zabójca rolniczej rentowności.

Obecna debata o umowie z MERCOSUR, czyli południowoamerykańskim blokiem gospodarczym obejmującym Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, ma w Polsce niezwykle silny wymiar emocjonalny. Nie jest to wyłącznie doraźna reakcja na nowe porozumienie handlowe, lecz raczej bolesne nagromadzenie wielu wcześniejszych, często traumatycznych doświadczeń polskiej wsi. Mamy tu przecież świeżą pamięć o kryzysie zbożowym po otwarciu szlaków solidarnościowych dla Ukrainy oraz gwałtowny wzrost kosztów energii po rosyjskiej agresji. Do tego dochodzi głęboka

nieufność wobec założeń Zielonego Ładu, spadek rentowności produkcji oraz narastające poczucie, że rolnicy są zapraszani do stołu tylko przy okazji zdjęć z chlebem. Umowa z MERCOSUR trafiła zatem na grunt społecznie i politycznie przesuszony, gdzie każda iskra mogła wywołać pożar. Wystarczyło jedno niefortunne sformułowanie urzędnika, a w mediach zaczął się prawdziwy polityczny pożar.

Dla polskiej gospodarki sektor drobiarski stanowi jeden z najbardziej wrażliwych i strategicznych punktów całego porozumienia z krajami Ameryki Południowej. Polska należy przecież do najważniejszych producentów drobiu w całej Unii Europejskiej, budując swoją pozycję eksportową dzięki ogromnej skali oraz wysokiej efektywności procesów. To nie jest już ta romantyczna wieś z kolorowej pocztówki, lecz nowoczesny sektor agroprzemysłowy działający w warunkach niezwykle ostrej konkurencji kosztowej. I właśnie z tego powodu nasi producenci mogą być szczególnie wrażliwi na import z państw dysponujących jeszcze większą skalą produkcji oraz zupełnie inną strukturą kosztów stałych. Komisja Europejska może oczywiście twierdzić, że proponowane kontyngenty taryfowe, czyli limity ilościowe na import towarów przy obniżonych stawkach celnych, są niewielkie. Jednak polska odpowiedź pozostaje niezmienna: statystyczna średnia unijna rzadko kiedy pokrywa się z brutalną rzeczywistością konkretnego sektora. Statystyka bywa ślepa na lokalne dramaty.

Jeżeli tani import zostanie skierowany bezpośrednio do segmentów przetwórczych, gastronomii lub wielkich sieci handlowych, może on pośrednio zdemolować ceny w całym naszym regionie. Przetwórca nigdy nie negocjuje z lokalnym rolnikiem w próżni lub w oparciu o abstrakcyjne modele matematyczne przygotowane przez brukselskich urzędników. Negocjuje on zawsze ze świadomością, że gdzieś w porcie czeka alternatywny, tańszy surowiec gotowy do natychmiastowego wykorzystania w produkcji. Sama możliwość importu działa zatem jak długi, chłodny cień rzucany na stół negocjacyjny, przy którym siedzą nasi hodowcy. W takim układzie sił Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, wspólnie kreśląc scenariusze przyszłych zysków. Rynek nie zostawia przecież wyraźnych odcisków palców na gardle producenta, on po prostu zostawia faktury.

W sektorze drobiarskim różnica w standardach produkcji jest kwestią szczególnie drażliwą, wywołującą zrozumiały gniew wśród europejskich producentów podlegających surowym rygorom. Europejski rolnik musi spełniać wyśrubowane wymogi dotyczące dobrostanu zwierząt, jakości pasz, stosowania leków oraz pełnej identyfikowalności każdego etapu produkcji. Produkcja w krajach MERCOSUR może wprawdzie spełniać podstawowe wymogi dopuszczenia do rynku unijnego, ale krytycy słusznie pytają o rzeczywistą równoważność całego procesu. To rozróżnienie jest zasadnicze, ponieważ europejski konsument w sklepie widzi zazwyczaj tylko ładnie zapakowany

filet, nie zastanawiając się nad jego pochodzeniem. Rolnik natomiast widzi cały skomplikowany system kosztów regulacyjnych, który stoi za tym konkretnym kawałkiem mięsa i determinuje jego cenę. Jeżeli jeden system nakłada na producenta cięższy plecak regulacyjny, a drugi lżejszy, to wyścig o klienta odbywa się z rażąco różnym obciążeniem. To nie jest uczciwa gra.

W debacie publicznej pojawia się często trafny bon mot, który doskonale oddaje polski lęk przed nieuczciwą konkurencją ze strony globalnych graczy. Nie można przecież budować wspaniałej europejskiej świątyni standardów na fundamencie, który stanowi asymetria handlowa, czyli nierównowaga w wymianie między bogatym centrum a peryferiami dostarczającymi surowce. Jeśli Unia Europejska chce być realną mocą normatywną, nie może uznawać surowych norm za obowiązek własnych producentów i jedynie ozdobnik w relacjach z partnerami. Suwerenność żywnościowa, czyli zdolność regionu lub państwa do zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego w oparciu o własną produkcję, wymaga bowiem czynnej ochrony, a nie tylko deklaracji. Normy muszą stać się twardym warunkiem dostępu do wspólnego rynku, a nie tylko ładną opowieścią snutą podczas kolejnej konferencji prasowej. Wypłata rekompensaty za utracony rynek nie zastąpi przecież przemyślanej strategii ochrony własnych producentów żywności.

Wołowina stała się najbardziej symbolicznym produktem w całym sporze między Unią a krajami MERCOSUR, ponieważ ogniskuje ona w sobie kilka potężnych napięć jednocześnie. Jest ona nierozerwalnie związana z kontrowersyjną kwestią deforestacji Amazonii, emisjami gazów cieplarnianych oraz prawami ludności rdzennej w Ameryce Południowej. Wołowina z tamtego regionu jest w debacie europejskiej czymś znacznie więcej niż tylko produktem spożywczym dostępnym w ladzie chłodniczej. Stała się ona czytelną aluzją do drapieżnej globalizacji, która najpierw obiecuje tani produkt, a potem wystawia wysoki rachunek środowiskowy w innym miejscu globu. Polska hodowla bydła mięsnego nie jest może tak potężna jak sektor drobiarski, ale dla wielu regionów ma kluczowe znaczenie dochodowe. W naszym kraju bydło jest często integralną częścią gospodarki mieszanej, powiązanej z lokalnym przetwórstwem oraz utrzymaniem aktywności na obszarach wiejskich.

Import tańszej wołowiny może zatem oddziaływać nie tylko na bieżące ceny mięsa, lecz także na cały model wykorzystania przestrzeni w naszym kraju. Rolnictwo to przecież nie tylko sama produkcja kalorii czy wypełnianie tabel w Excelu, ale przede wszystkim specyficzny sposób organizacji terytorium i krajobrazu. Zwolennicy umowy wskazują wprawdzie, że kontyngenty na wołowinę są ograniczone i obłożone licznymi zabezpieczeniami mającymi chronić naszych producentów. Parlament Europejski zatwierdził nawet dodatkowe klauzule ochronne, które zakładają obowiązek monitorowania rynku oraz raportowania sytuacji co sześć miesięcy. Krytycy jednak słusznie zauważają, że próg realnej szkody może być niezwykle trudny do uchwycenia w

gąszczu statystyk i procedur. Rolnik nie żyje przecież w powolnym czasie legislacyjnym, on żyje w czasie zakupu paszy, spłaty kredytu oraz aktualnej ceny skupu. System polityczny powinien chronić obywateli przed ryzykiem, a nie jedynie oferować plastry na rany.

Dodatkowy problem dotyczy ogromnej koncentracji beneficjentów po stronie krajów MERCOSUR, co budzi uzasadnione obawy o uczciwość konkurencji na globalnym rynku. System alokacji kontyngentów może sprzyjać wielkim, już ugruntowanym eksporterom, szczególnie w Brazylii, gdzie kluczowe znaczenie mają kryteria finansowe oraz techniczne. W tym kontekście polski rolnik nie konkuruje bynajmniej z romantycznym gaucho na koniu, lecz z potężnym korporacyjnym agrokompleksem wspieranym przez kapitał. To nie jest klasyczny pojedynek Dawida z Goliatem, lecz starcie, w którym Dawidowi kazano dodatkowo wypełnić skomplikowany formularz środowiskowy przed wyjściem na pole. Przemysł 4.0 w rolnictwie, czyli czwarta rewolucja przemysłowa oparta na cyfryzacji, algorytmach i automatyzacji procesów, wyznacza nową linię frontu. Technologia nie zna litości dla nieprzygotowanych.

Pakiet warunkowości normatywnej, czyli zbiór europejskich standardów środowiskowych i społecznych narzucanych partnerom handlowym, miał być w teorii tarczą chroniącą nasz rynek przed nieuczciwością. W praktyce jednak staje się on często biurokratycznym ciężarem, który zamiast wyrównywać szanse, jedynie komplikuje życie lokalnym producentom żywności. Jeśli te normy nie staną się bezwzględnym warunkiem dostępu do rynku dla wszystkich graczy, europejskie rolnictwo może stracić swoją konkurencyjność. Musimy zrozumieć, że asymetria standardów to nie tylko problem techniczny, ale przede wszystkim fundamentalne pytanie o przyszłość europejskiego modelu społecznego. Bez jasnych reguł gry, które będą obowiązywać wszystkich uczestników rynku, trudno oczekiwać, że polska wieś zaakceptuje kolejne umowy handlowe. Ostatecznie to nie wielkie traktaty, lecz codzienna opłacalność produkcji zdecyduje o tym, czy nasze rolnictwo przetrwa nadchodzącą próbę sił.

## Cukier, etanol i miód: ukryte fronty handlu z MERCOSUR

Cukier i etanol rzadko trafiają na czołówki serwisów informacyjnych, które wolą znacznie bardziej fotogeniczne protesty producentów wołowiny, niemniej stanowią one strategiczny kręgosłup przemysłu spożywczego, chemii oraz nowoczesnej biogospodarki. W Polsce sektor cukrowniczy to nie tylko rzędy silosów, lecz skomplikowany ekosystem tysięcy plantatorów buraka i lokalnych rynków pracy, które utrzymują stabilność całych regionów. Perspektywa liberalizacji handlu z MERCOSUR, czyli południowoamerykańskim blokiem gospodarczym dysponującym potężnymi

zasobami rolnymi, wprowadza drżenie niepewności co do opłacalności krajowych upraw oraz przyszłości zakładów przetwórczych. Brazylia, występująca tu w roli globalnego tytana, wykorzystuje trzcinę cukrową do osiągnięcia skali i kosztów, które dla europejskiego rolnika pozostają w sferze niedoścignionych marzeń. Nie jest to zatem zwykła rynkowa rywalizacja dwóch popularnych słodzików, lecz fundamentalne zderzenie dwóch odmiennych reżimów agroekologicznych.

Botaniczna różnica między środkowoeuropejskim burakiem a tropikalną trzciną to zaledwie wierzchołek góry lodowej, pod którym kryją się całkowicie rozbieżne światy kosztów, energii i standardów pracy. Podczas gdy polski producent operuje w gęstej sieci rygorystycznych regulacji środowiskowych i wysokich kosztów socjalnych, jego brazylijski konkurent korzysta z klimatu i historii sprzyjającej masowym, niskokosztowym monokulturom. Jesteśmy świadkami konfrontacji, w której Hegel, Machiavelli i chłodny księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, próbując pogodzić sprzeczne interesy przy jednym stole. To klasyczny przykład asymetrii handlowej, czyli nierównowagi w wymianie między technologicznym centrum a surowcowymi peryferiami, co definiuje nową strukturę globalnych zysków i strat. Wszak rynek nie zostawia odcisków palców, rynek zostawia faktury, a te wystawione w tropikach są dla europejskiego modelu rolnictwa boleśnie niekonkurencyjne.

W przypadku etanolu debata przesuwa się w stronę skomplikowanego styku bezpieczeństwa energetycznego i ambicji klimatycznych współczesnej Europy. Unia dąży do neutralności emisyjnej, promując biopaliwa jako lekarstwo na zanieczyszczenia, przy czym musi uważać, by nie wpaść w pułapkę uzależnienia od importu surowców o niejasnym bilansie środowiskowym. Jeśli południowoamerykański etanol okaże się znacząco tańszy, bez wątpienia skusi on przemysł, lecz jednocześnie podkopie fundamenty ekonomiczne europejskich producentów rolnych. Tworzy to ostry konflikt interesów między konsumentem przemysłowym, szukającym taniego komponentu, a rolnikiem, który do przetrwania potrzebuje stabilności cenowej i przewidywalności. Państwo tymczasem chętnie snuje narrację, w której każdy interes zostaje zaspokojony bez żadnych kosztów politycznych czy społecznych. To ulubiona bajka administracji: wilk syty, owca cała, a raport strategiczny zdobi piękny, optymistycznie wznoszący się wykres.

Poza kategorią towarów masowych, lista produktów monitorowanych obejmuje miód, ryż i kukurydzę – pozycje, gdzie relatywnie małe wolumeny handlowe potrafią wywołać nieproporcjonalnie duże emocje społeczne. Miód służy tu za idealne studium przypadku, w którym problemem nie jest wyłącznie cena, lecz autentyczność, pochodzenie i coraz rzadsza waluta zaufania konsumenckiego. W świecie zglobalizowanych łańcuchów żywnościowych nowoczesny nabywca nie szuka już samej dostępności towaru, lecz gwarancji, że kupuje produkt uczciwy, a nie

tylko słodką opowieść z kolorową etykietą. Dla polskich pszczelarzy import tańszego miodu może zdestabilizować rozdrobniony rynek, który opiera się niemal wyłącznie na lokalnej renomie i wypracowanej przez lata wiarygodności. Tutaj wyzwaniem staje się suwerenność żywnościowa, czyli zdolność regionu do zapewnienia bezpieczeństwa w oparciu o własną produkcję, co staje się pytaniem o przetrwanie tradycyjnych rzemiosł.

Kukurydza i ryż pokazują natomiast wewnętrzne sprzeczności sektora rolnego, gdzie surowiec jednego producenta staje się bezpośrednim kosztem działalności drugiego. Tańsze komponenty paszowe mogą być chwilowym wybawieniem dla hodowców drobiu, lecz dla plantatorów roślin oznaczają one egzystencjalne zagrożenie dla ich dochodów i płynności finansowej. W skomplikowanej maszynerii wiejskiej gospodarki rzadko istnieje jeden, spójny interes, który zadowoliłby wszystkich uczestników rynku, od pola aż po sklepową półkę. Producent drobiu może lobbować za tańszą paszą z importu, niemniej sam drży przed perspektywą zalania jego własnego rynku przez tanie mięso zza oceanu. Ten paradoks przypomina, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w Excelu wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak poczucie zdrady. Ostatecznie pragnienie niskich cen u konsumenta pozostaje w stałym napięciu z potrzebą ochrony u producenta, skazując państwo na wieczny, ryzykowny balans.

## Geopolityka kontra zaufanie: trudny bilans umowy z MERCOSUR

To nie jest prosta opowieść o dobru i złu, lecz skomplikowany węzeł interesów, w którym Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju. W sterylnych korytarzach Brukseli dominuje dziś język zarządzania ryzykiem, pełen obietnic o kontyngentach taryfowych, czyli limitach ilościowych na import przy obniżonych stawkach celnych, oraz rygorystycznych standardach sanitarnych. Komisja Europejska kreśli wizję bezpiecznego portu, gdzie każdy transport wołowiny czy cukru z Ameryki Południowej zostanie poddany drobiazgowej, niemal laboratoryjnej kontroli. Dla urzędnika to kwestia procedur i funduszy osłonowych, które mają amortyzować ewentualne wstrząsy na rynku wewnętrznym. Jednak ta technokratyczna pewność siebie rzadko znajduje zrozumienie u tych, którzy na co dzień mierzą się z ratą kredytu i rosnącymi kosztami pasz.

Politycy krytyczni wobec umowy, z Warszawą i Paryżem na czele, posługują się zupełnie inną gramatyką – językiem głębokiej, wręcz egzystencjalnej nieufności. Zapowiedź zaskarżenia porozumienia do Trybunału Sprawiedliwości UE to nie tylko gest procesowy, ale wyraz przekonania, że prawna architektura umowy jest niedostatecznie szczelna. Polska argumentuje, że

zalew tańszego drobiu i cukru z krajów MERCOSUR, czyli południowoamerykańskiego bloku gospodarczego obejmującego Brazylię i Argentynę, może zdmuchnąć krajowych producentów z powierzchni rynku. To nie jest jałowa debata o wolumenach handlowych, lecz fundamentalny spór o wiarygodność europejskich instytucji w oczach obywateli. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, a te w polskich gospodarstwach coraz rzadziej chcą się bilansować.

Problem polega na tym, że wielu rolników przestało wierzyć w zapewnienia składane ex ante, zanim jeszcze atrament na unijnych dokumentach zdążył dobrze wyschnąć. Zbyt często słyszeli bowiem, że sytuacja jest pod kontrolą, by po czasie odkryć, że kontrolowany był głównie język oficjalnych komunikatów prasowych. Doświadczenia z importem z Ukrainy stały się bolesną lekcją, pokazującą, że szczytne cele solidarności geopolitycznej potrafią mieć bardzo przyziemne i bolesne skutki rynkowe. Dziś, gdy Bruksela powtarza te same formułki przy okazji MERCOSUR, rolnicy reagują sceptycyzmem, który nie jest irracjonalnym lękiem przed nowym. To raczej twarda pamięć instytucjonalna zapisana w portfelu, gdzie każda obietnica bez pokrycia zostawia trwały i bolesny ślad.

Unijni decydenci muszą wreszcie pojąć, że nowoczesny producent rolny nie oczekuje wyłącznie jałmużny w postaci rekompensat za poniesione straty. On oczekuje podmiotowości, czyli realnego współdecydowania o kształcie systemu, a nie tylko roli statysty w cudzym, odgórnie napisanym scenariuszu. Różnica jest zasadnicza: rekompensata to komunikat, że wiemy o twoim cierpieniu i być może rzucimy ci koło ratunkowe, gdy zaczniesz tonąć. Podmiotowość natomiast zakłada, że nie zaprojektujemy statku w taki sposób, byś musiał z niego wypaść przy pierwszej większej fali. Europa zbyt często wybiera tę pierwszą drogę, bo jest ona łatwiejsza administracyjnie i pozwala na szybkie odhaczenie problemu w arkuszu Excela.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że argumenty geopolityczne stojące za tym porozumieniem mają ciężar gatunkowy, którego nie sposób zignorować. Brazylia i jej sąsiedzi nie będą wiecznie czekać w przedpokoju, aż Europa łaskawie wypracuje wewnętrzny konsensus w sprawie handlu. Jeśli Unia nie zbuduje trwałego partnerstwa z tym regionem, Chiny z radością wypełnią tę próżnię, wzmacniając swoją dominację technologiczną i surowcową. Brazylijski wiceprezydent Geraldo Alckmin wskazuje, że pełne wdrożenie umowy może zwiększyć tamtejszy eksport o 13 procent, co dla nas brzmi jak realne ostrzeżenie. Dla Brukseli stawką jest utrzymanie wpływów w części świata, która dysponuje kluczowymi zasobami energii i surowców niezbędnych do transformacji.

Ameryka Południowa to dziś wielka szachownica, na której swoje partie rozgrywają nie tylko USA i Europa, ale też Rosja, Indie czy Turcja. Jeśli UE pozostanie bierna, jej słynna „moc normatywna", czyli zdolność do narzucania światu własnych standardów, stanie się jedynie zakurzonym wspomnieniem z podręczników politologii. Zwolennicy umowy mają rację, twierdząc, że musimy

działać strategicznie, by nie wypaść z globalnego obiegu gospodarczego. Błąd zaczyna się jednak w momencie, gdy z tej wielkiej strategii czyni się pałkę do dyscyplinowania własnych rolników. Demokracja nie jest systemem wypłat po szkodzie, lecz systemem współdecydowania przed szkodą, a poważna geopolityka musi wreszcie uwzględnić rachunek społeczny.

## MERCOSUR: Między strategiczną wizją a ochroną polskiej wsi

Państwo, które decyduje się na poświęcenie własnych grup produkcyjnych na ołtarzu wielkiej strategii, nie oferując w zamian realnej kompensacji ani impulsu modernizacyjnego, w istocie nie buduje autonomii, lecz fundament pod wewnętrzną rebelię. Taki opór nie jest jedynie problemem lokalnym, lecz staje się darmowym prezentem dla tych sił zewnętrznych, które marzą o Europie słabej, podzielonej i wiecznie skłóconej ze swoimi obywatelami. Jeśli Unia Europejska rzeczywiście zamierza rzucić wyzwanie potęgom takim jak Chiny czy USA, musi przestać traktować własnych rolników jako hałaśliwy, nieco irytujący przypis do wielkiej strategii handlowej. Nie ma bowiem nic bardziej niebezpiecznego niż polityka, która w Excelu wygląda jak wzrost dobrobytu, a w terenie jak poczucie głębokiej zdrady. Rynek nie zostawia przecież odcisków palców, rynek zostawia faktury, które ktoś na końcu musi opłacić.

W debacie dotyczącej porozumienia UE-MERCOSUR, czyli umowy z południowoamerykańskim blokiem gospodarczym obejmującym Brazylię, Argentynę, Paragwaj i Urugwaj, najwyraźniej objawia się głęboki kryzys języka. Zwolennicy operują pojęciami takimi jak multilateralizm, przewidywalność reguł czy geopolityczna konieczność, podczas gdy przeciwnicy alarmują o dumpingowych standardach i utracie suwerenności żywnościowej, rozumianej jako zdolność państwa do wyżywienia obywateli własną produkcją. Obie strony barykady mają w ręku istotne argumenty, jednak komunikują się tak, jakby ich oponenci byli albo skrajnie naiwni, albo cynicznie wyrachowani. Brakuje nam wspólnego mianownika, którym mogłoby stać się pojęcie „uczciwego handlu strategicznego" – koncepcji zakładającej otwartość, ale pod bardzo ścisłymi, egzekwowalnymi warunkami. Oznacza to konkurencję, która nie opiera się na regulacyjnej asymetrii, lecz na partnerstwie wykluczającym eksploatację i destrukcję lokalnych zdolności wytwórczych.

Polska mogłaby uczynić z tej nowej definicji swój autorski wkład do europejskiej debaty, wychodząc z roli wiecznego recenzenta i proponując spójną doktrynę wysokich standardów. Rynek unijny powinien być postrzegany jako przestrzeń, gdzie kontrolowane dane i identyfikowalność produktów stanowią realną ochronę dla producentów wrażliwych, a nie tylko biurokratyczny ciężar. Wymaga

to jednak znacznie większej powagi niż rzucanie populistycznego hasła o „obronie rolników", które bez wizji modernizacji staje się jedynie konserwowaniem słabości. Z kolei modernizacja narzucana bez odpowiedniej ochrony przypomina społeczny darwinizm ubrany w elegancki garnitur eksperta, co w polityce rzadko kończy się sukcesem. Potrzebujemy obu tych elementów jednocześnie, bo choć jest to zadanie trudne, to właśnie w nim tkwi szansa na trwałość wspólnoty.

Polska odpowiedź na wyzwania MERCOSUR powinna opierać się na pięciu warunkach minimalnych, które mają charakter proinstytucjonalny, a nie tylko antyhandlowy. Po pierwsze, niezbędna jest pełna cyfrowa identyfikowalność produktów, czyli weryfikowalny łańcuch pochodzenia, a nie tylko papierowy certyfikat okazywany na granicy. Po drugie, konieczny jest sektorowy monitoring cen i marż, który pozwoliłby błyskawicznie wykazać korelację między importem a presją na lokalnych producentów. Po trzecie, musimy wprowadzić automatyzm ochronny w sektorach szczególnie wrażliwych, uruchamiany w momencie, gdy określone wskaźniki wolumenowe przekroczą bezpieczny próg. Takie mechanizmy nie negują sensu partnerstwa, lecz czynią je wiarygodnym i bezpiecznym dla najsłabszych ogniw całego łańcucha dostaw.

Czwartym filarem powinien być fundusz modernizacji rolnictwa, ponieważ odszkodowanie po pożarze nie jest strategią przeciwpożarową, choć w Brukseli bywa czasem prezentowane jako architektura bezpieczeństwa. Piąty warunek to budowa europejskiej koalicji na rzecz klauzul lustrzanych, wymuszających na partnerach te same standardy środowiskowe i dobrostanowe, które obowiązują naszych producentów. Europa musi wreszcie zrozumieć, że konflikt rolny nie jest błędem komunikacyjnym czy problemem z zakresu public relations, lecz strukturalnym sporem o podział kosztów globalizacji. To walka o to, kto zapłaci za reguły gry ustalane przez silniejszych graczy i czy rolnik ma być jedynie pasywnym odbiorcą tych decyzji. Partnerstwo, które ignoruje te słabsze ogniwa, jest krótkowzroczne i skazane na polityczną porażkę w dłuższej perspektywie.

W tym sporze pobrzmiewa echo antycznej tragedii, gdzie racje państwa zderzają się z racjami jednostki i tradycji. Komisja Europejska często wciela się w rolę Kreona, przemawiając językiem geopolitycznej konieczności, strategii i abstrakcyjnych reguł, które mają zapewnić porządek. Rolnicy natomiast stają się współczesną Antygoną, odwołującą się do ziemi, ciągłości gospodarstwa i niewidzialnego prawa wspólnoty, które nakazuje chronić to, co zakorzenione. Tragedia zaczyna się w punkcie, w którym obie strony odmawiają sobie nawzajem racjonalności, uznając argumenty przeciwnika za nieistotne lub wręcz szkodliwe. Tymczasem bez syntezy tych dwóch porządków każda decyzja polityczna będzie obarczona skazą pychy, która prędzej czy później doprowadzi do kryzysu.

Umowa UE-MERCOSUR może stać się aktem strategicznej dalekowzroczności, o ile zostanie obudowana twardą technologią, cyfrową identyfikowalnością i symetrią standardów. Jeśli jednak

twórcy uznają, że wystarczy kilka ogólnych zabezpieczeń i cierpliwe tłumaczenie, że „w długim okresie wszyscy skorzystamy", popełnią błąd politycznej arogancji. Keynes złośliwie przypomniałby im wtedy, że w długim okresie wszyscy będziemy martwi, a polski rolnik dodałby mniej elegancko, że rata kredytu jest płatna już w przyszłym miesiącu. Demokracja nie jest systemem wypłat po szkodzie, lecz systemem współdecydowania przed jej wystąpieniem, o czym decydenci w Brukseli zdają się czasem zapominać. Hegel, Machiavelli i księgowy z działu zakupów zwykle siedzą w tym samym pokoju, ale rzadko mówią tym samym głosem.

Najuczciwsza ocena sytuacji wskazuje, że obie strony sporu opisują jedynie fragmenty rzeczywistości, unikając zmierzenia się z całą, wymagającą prawdą. Według zwolenników polska wieś zostanie ochroniona przez kontyngenty taryfowe, czyli limity ilościowe na import przy obniżonych stawkach celnych, a zyski przemysłowe zrekompensują ryzyka. Krytycy słusznie jednak zauważają, że porozumienie może dopuścić konkurencję opartą na rażąco nierównych standardach, co podważy nasze bezpieczeństwo żywnościowe. Prawda jest taka, że MERCOSUR nie musi oznaczać końca polskiego rolnictwa, ale z pewnością stanie się jego surowym egzaminatorem, sprawdzającym naszą zdolność do modernizacji. To nie jest błąd systemu, to system weryfikuje naszą gotowość do funkcjonowania w świecie, gdzie sentymenty nie mają znaczenia.

Jeśli Polska i Unia Europejska nie odrobią lekcji z zakresu budowy silnych instytucji, analizy danych i egzekwowania sprawiedliwej konkurencji, egzamin ten zostanie oblany z kretesem. Nie stanie się to jednak dlatego, że globalny świat okazał się zbyt trudny do opanowania, lecz dlatego, że polityka okazała się zbyt wygodna i powierzchowna. Przemysł 4.0 w rolnictwie, oparty na cyfryzacji i algorytmach, wyznacza nową linię frontu, przed którą nie uciekniemy, chowając głowę w piasek. Ostatecznie to od naszej determinacji zależy, czy umowa ta będzie fundamentem nowej siły, czy jedynie dokumentem sankcjonującym powolną degradację lokalnych zdolności produkcyjnych. Warto o tym mówić głośno, bo wielu małych producentów, działając wspólnie, wciąż może zmienić bieg tej historii.

> Adaptacja do globalnego rynku nie może odbywać się kosztem fundamentów, na których budowana jest społeczna stabilność kontynentu. Jeśli rolnictwo stanie się jedynie statystyczną zmienną w arkuszach kalkulacyjnych, Europa utraci nie tylko swoje bezpieczeństwo żywnościowe, ale także duszę własnej wspólnoty. Pytanie brzmi: czy zdołamy wykuć system, w którym nowoczesność nie wymaga poświęcenia tych, którzy żywią nasze społeczeństwa?

## Inspiracje

**[1] "EU-MERCOSUR Interregionalism: Diplomatic and Trade Relations"** Mario Torres Jarrín, Lourdes Gabriela Daza Aramayo

*2023 | Springer International Publishing | ISBN: 978-3-031-19216-6*

Dr **Mario Torres Jarrín**, dyrektor Instytutu Studiów Europejskich i Praw Człowieka na Papieskim Uniwersytecie w Salamance, specjalizuje się w polityce zagranicznej UE, stosunkach UE-Ameryka Łacińska oraz dyplomacji cyfrowej. Jest współautorem „EU-MERCOSUR Interregionalism: Diplomatic and Trade Relations" (2023) oraz autorem licznych publikacji, w tym „Artificial Intelligence and Foreign Affairs".

*Dr **Mario Torres Jarrín**, Director of the Institute of European Studies and Human Rights at the Pontifical University of Salamanca, specializes in EU foreign policy, EU-Latin American relations, and digital diplomacy. He is the co-author of "EU-MERCOSUR Interregionalism: Diplomatic and Trade Relations" (2023) and author of numerous publications, including "Artificial Intelligence and Foreign Affairs".*

---

**Lourdes Gabriela Daza Aramayo** (ur. 1983) to ekonomistka i liderka akademicka, specjalizująca się w handlu międzynarodowym oraz relacjach międzyregionalnych, zwłaszcza między UE a Ameryką Łacińską. Jest współzałożycielką i dyrektorką Latin American & Caribbean (LAC) Business and Studies Center na Anglo-American University w Pradze. Posiada doktorat z polityki ekonomicznej i jest autorką książki "EU-MERCOSUR Interregionalism: Diplomatic and Trade Relations" (2023).

***Lourdes Gabriela Daza Aramayo** is an economist and academic leader specializing in international trade, regional integration, and interregionalism, with a particular focus on European Union–Latin America and Caribbean relations. She holds an engineering degree in Political Economy and a Ph.D. in Economic Policy from the University of Economics, Prague. A founder of the Anglo-American University (AAU) in Prague, she has served as the Director of the Latin American & Caribbean (LAC) Business and Studies Center. Her work integrates strategic vision with academic diplomacy, fostering institutional partnerships between Europe and Latin America. Her research contributions include analyzing socio-economic data, competitiveness indices, and the diplomatic and trade dynamics of EU-MERCOSUR relations. She has been a significant figure in promoting academic dialogue and policy-oriented research regarding bi-regional cooperation in a rapidly transforming global environment.*

*Anglo-American University, Prague*

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: a278a51d-bcdd-4d05-8d86-b7078d50b8e4